

Bohaterska rodzina leśnika

Powstanie styczniowe ma sławnych bohaterów, wiele bitew zostało opisanych. Ma też szereg bohaterów bezimiennych, jak leśna rodzina z Roztocza, której tragiczny los utrwalił powstaniec-literat Ferdynand Czaplicki.

Ferdynand Władysław Czaplicki już jako 18-latek wziął udział w powstaniu krakowskim (1846), dwa lata później wstąpił do Gwardii Narodowej we Lwowie. Nic dziwnego, że kiedy nastąpił kolejny zryw narodowy, też się weń zaangażował. W powstaniu styczniowym był kapitanem 3. kompanii u Marcina Borelowskiego „Lelewela”, którego oddziały walczyły na Podlasiu i Lubelszczyźnie.

Czaplicki za udział w insurekcji został skazany na zsyłkę. Po sześciu latach wrócił z Syberii i poświęcił się działalności literackiej. Drukami ukazały się m.in. jego tołucze wspomnienia. Opowiadanie, dzięki któremu możemy poznać powstańcze losy rodziny leśnika, nosi tytuł „Bohaterska rodzina. Urywek z powstania 1863 r. Zdarzenie prawdziwe”. Zostało wydrukowane we Lwowie w 1883 roku. Wydane na tyle wcześniej po powstaniu, że można wnioskować, iż zamieszczone tu fakty są prawdziwe, gdyż mogły być poddane weryfikacji.

Gotowi do poświęceń

Tytułowy „urywek z powstania” dotyczy znanej bitwy pod Panasówką na Roztoczu (3 września 1863 r.). Ale nie o bitwę tu chodzi, a o ludzi, którzy musieli wyrzucić na tyle ogromne wrażenie na autorze, że nie chciał, aby zostali zapomniani. Szkoda jedynie, że nie znamy nazwisk bohaterów opowiadania ani lokalizacji leśniczówki. Możemy się jedynie domyślać, że to jedna z licznych leśnych osad w Puszczy Solskiej, położona gdzieś w okolicach Zwierzyńca.

Bohaterska rodzina według słów pułkownika Lelewela była *biedną, ale bardzo zącną, pełną najwznieńszojszego patriotyzmu, rodziną, gotową do wszelkich ofiar i poświęceń, bez granic dla sprawy narodowej*. Współpracując

z powstańcami, ludzie ci dowozili broń i amunicję, przekazywali informacje o miejscach pobytu wojsk carskich.

Ich leśniczówka to *mały, skromny, ale biały domek, z ganeczkiem i ławeczkami po bokach, z ogródkiem kwiatowym i warzywnym*. Wrażenie na przybyłych robiło również wnętrze: *Ta wzorowa czystość, białość, ta uderzająca w oczy harmonja we wszystkim, ta jasność w obydwu niewielkich pokojach, czyniły mieszkanko to nadzwyczaj miłym i przyjemnym, a nadto nadawały przekonanie, że tu mieszkają ludzie serca i estetycznego poczucia, nie tylko umiejący zastosoować się do tego co mają, ale zarazem posiadający ten dar wytworzenia piękna z wszystkiego co je otacza i utworzenia sobie rajy na ziemi*.

Autor musiał być pod wrażeniem każdej osoby zamieszkującej leśną osadę. Leśniczego zapamiętał jako ciemnego blondyna o oczach niebieskich, z wąsikami, o twarzy

wyrazistej, która świadczyła o wielkiej sile woli i pewności. Jego żonę przedstawił jako wysoką, smukłą brunetkę, o pięknych czarnych oczach, o postaci pełnej naturalnego wdzięku i wzbudzającej uszanowanie. Rodzinę tworzył jeszcze syn Jasio w wieku pięciu lub sześciu lat, 14-letnia kuzynka Karolcia i... ulubiona Jasia bułanka. Mimo niewielu lat Jaś wiele rozumiał, niejedno już widział i chętnie przyłączyłby się do powstańców. I tylko ten wiek...

Otrzymał jednak przyrzeczenie, że po dziesięciu latach zostanie przyjęty do oddziału.

Cenna wskazówka

Gościnni gospodarze dzielili się wszystkim, co mieli, zgodnie ze słowami gospodyni: *Czem kto może, niech pomoże, czem chata bogata, tem serdeczna rada!*

Tak wyglądało pierwsze spotkanie autora z leśną rodziną, ale też i ostatnie. Po krótkim pobycie w leśniczówce oddział odmaszerował. Powstańcy wiedzieli, że Moskale ich otaczają. Obawiali się, czy zdołają uniknąć starcia, nim zajmą dobre obronne stanowiska. Na krzyżówkach dróg próbowali zmylić wroga, wysyłając w każdym kierunku żołnierzy piechoty i jazdy, aby nie wskazywać właściwej drogi.

Pomoc nadeszła nieoczekiwanie – była nią cenna wskazówka przekazana przez leśniczego. W nocy, jadąc konno na oklep, kartkę zapisaną ręką leśnika przywiózł... jego kilkuletni synek. Nawet pułkownik, który postąpił zgodnie z sugestią – przeprowił się przez rzekę, prawdopodobnie Wieprz, unikając przedwczesnego starcia z nieprzyjacielem – nie mógł zrozumieć, że leśniczy wysłał jedyne, ukochanego malca. – *Jacyż to dzielni ludzie! Ileż tam poświęceń!* – podsumował zdarzenie.

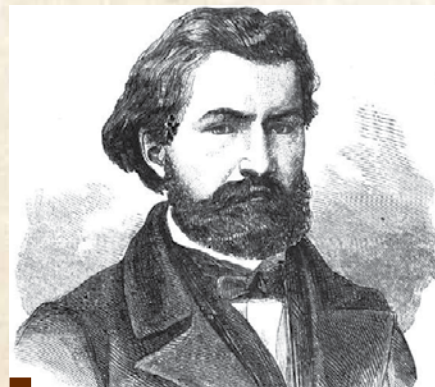
3 września ok. 9.00 oddział dotarł do lasu pod Panasówką (kilka kilometrów na zachód od Zwierzyńca), aby w końcu zatrzymać się przed folwarkiem Poremba (Poręby, dziś wieś sąsiadująca z Panasówką). Dzierżawczyni Poremby przysłała żywność dla oddziału, ale też nie zapomniała o koniach.

Bitwa pod Panasówką, jedna z największych w powstaniu styczniowym, została dokładnie opisana w źródłach historycznych i nie ona była tematem opowiadania. Autor krótko wspominał: *pod Panasówką zwycięstwo nasze było zupełne, a Moskale pobici na wszystkich punktach, uciekli w nieładzie, pozostawiając na pobojowisku wiele trupów – my zaś wzięliśmy niewolników, trochę broni i szyneli moskiewskich, ponieśliśmy jednak straty niemałe, bo stu kilkudziesięciu ludzi zabitych i rannych, a nadto folwark Poremba niepojętym dla nas sposobem padł ofiarą płomieni*.

Powstańcza mogiła poległych pod Panasówką można odwiedzić na cmentarzu w Zwierzyńcu. Na wzgórzu Polak w okolicy wsi ustawiono pomnik upamiętniający przebieg walk.

Ciągle padało: nie wiem

Wspomniany przez Czaplickiego pożar nie był jedynym, jaki w tych dniach wybuchł w oko-



Pułkownik powstania styczniowego Marcin Borelowski „Lelewel”



Pomnik upamiętniający przebieg walk pod Panasówką (wzgórze „Polak” w okolicy wsi)

licy. Powstańcy umieścili rannych we dworze w Zwierzyńcu, a sami klucząc po lasach, ponownie znaleźli się w pobliżu leśniczówki. A w zasadzie zgłiszczy, które po niej zostały... Po dłuższych poszukiwaniach pułkownik znalazł świadka – Karolcie, kuzynkę rodziny.

Dowódca dłuższy czas nie był w stanie powtórzyć relacji: *Pułkownik milczał i zwiesiłszy głowę na piersi, jechał w smętnej a zarazem jakiejś, że tak powiem, ponurej zadumie. Od czasu do czasu drgnęły mu wąsy, a i oczy miał jakby zwilżone. [...] Powtarzał od czasu do czasu, jakby sam do siebie: Ach! To lotry! To barbarzyńcy!*

Ale w końcu zdał relację pozostałym. Nim oddział wyruszył z leśniczówki, jego dowódca umówił się z gospodarzem, że ten przekaże informacje o nadciągającym wojsku. Leśniczy podjął trudną decyzję o wysłaniu z wiadomością syna. Miał on wyruszyć na bulance dopiero wtedy, gdy leśniczy da hasło – klasnięcie dwukrotnie w dłoń. Niestety, klasnął w niewłaściwym momencie, zobaczyli to Kozacy. I zaczęło się długie, męczące przesłuchanie. Padały ciągle te same pytania: dlaczego i komu klaskał, kogo chciał tym uprzedzić. A w międzyczasie: *Kozacy, jak istni zbójcy, jak drapieżne zwierzęta, z hałasem i śmiechem upadli do domu, stajni, stodoły i w każdy leśniczówki zakątek; szukali, przetrząsali, kradli i rabowali.*

Leśniczy cierpliwie odpowiadał, nie zrazał się, ale w końcu potwierdził, że byli u niego Polacy. Przesłuchanie stawało się więc coraz cięższe i trudniejsze. Wypytyujący Kozak był coraz bardziej brutalny. Nie pomogły prośby żony, leśniczego powalono na ziemię, okładając nahajkami. Jego nieustanne milczenie

doprowadzało do jeszcze większej złości pijanego oficera, który stawał się coraz bardziej agresywny i nieobliczalny. Autor zapisał:

A potem gdy zapewne z nadmiaru wódki ćmiło mu w oczach, zwrócił się do kozaków i rzekł znacząco: – Czo to zdieś tiemno – nadaby – tawos! Asuał zawołał kilku kozaków, którzy jak szaleni pobiegli wraz z nim do stodoły i stajni i – zanim kilka minęło minut – wszystkie budynki stały w płomieniach. – Tiejpier – dziko uśmiechając się rzekł oficer weselo: Tiejpier powidnieje.

I nawet to nie pomogło, ciągle padała odpowiedź: nie wiem. Grozy w opowiadaniu dodaje również opis scenarii rozgrywającej się tragedii: *Wobec jasności gorejących budynków, prócz nieco jaśniejszej tony, tam w dali wszędzie niebo całe wydawało się czarne, wiatr szumiał po lesie a drzewa oświetlone blaskiem pożaru, wydawały się jakby nagie, olbrzymich rozmiarów postacie potrząsujące gniewnie grzywami.*

Leśniczemu kilkakrotnie zakładano stryczek na szyję i unoszono do góry, a gdy tylko na twarzy znać było, że ofiara przestanie żyć, przerywano, opuszczając ciało na ziemię. Po czwartym razie przytroczono do koni i zabrano ze sobą.

Gdy omdlała na widok cierpień męża leśniczyna ocknęła się: *Na dworze zapanowała cisza. Listek nawet nie zaszeleścił na drzewie. Pożar przygasał powoli, jeszcze tylko gdzieś gdzieś blyszczał płomyk jaśniejszy, [...] czerwone iskry niby skarga zniszczenia wysoko strzelały do nieba. [...] Wśród tej grobowej ciszy coraz głośniejsze i głośniejsze odzywał się tentent kopyt końskich. Nareszcie już niedaleko leśniczówki zarząta poczciwa bulanka.*

Można sobie wyobrazić radość matki! Ale trudno sobie wyobrazić, co przeżywała, odkrywszy, że Jaś wprawdzie zawiśł na bulance, ręce jego konwulsyjnie trzymają się grzywki, – ale – *Jaś już nie żyje! Cały już skręplą oblaną krwią – przez plecy w samo serce ugodzony kulą – już zimny!*

Jakby tego było mało, kobieta wkrótce znalazła ciało męża porzucone w rowie. Nie pogodziła się z faktami. Błąkała się w poszukiwaniu męża i dziecka, uciekała przed ludźmi. Nie zniosła ogromu cierpień.

Zadziwiająca historia – nic dziwnego, że Ferdynand Czaplicki ją opisał. Tylko ważne rzeczy na zawsze zostają w naszej pamięci i pozostawiają ślad w sercu i umyśle. Ta niezwykła rodzina leśnika z Roztocza to anonimowi bohaterowie powstania styczniowego. Nie mają pomników, ale pamięć o nich będzie tak długo trwała, jak często będziemy sięgać do źródeł.

Anna Kulbacka



Marek Keller
(1955–2012)

13 stycznia minął rok od jego odejścia. Kiedy w 1979 r. dostałem się na studia w Warszawie, Wojtek Kania, pracownik Stacji Ornitologicznej, zasugerował mi, bym nawiązał kontakt z Markiem Kellerem. Spotkaliśmy się w jego maleńkim pokoiku na Wydziale Leśnym przy Rakowieckiej. Poinformował mnie o Sekcji Ornitologicznej Koła Naukowego Leśników, zaprosił na najbliższe zebranie i opowiedział o badaniach w Sobiborze.

Taki był początek naszej, ponad 30-letniej przyjaźni. Gdy mieszkalem w akademiku na Ursynowie, spotykaliśmy się niemal codziennie. U jego rodziców, w akademiku, na spacerze. Rozmawialiśmy nie tylko o ptakach, ale też o ludziach, o książkach, o życiu. Był przy wszystkich ważnych wydarzeniach w moim życiu, także na moim ślubie i chrzcinach moich dzieci. Jego obecność i wsparcie były oczywiste, ale zawsze bardzo subtelne. Marek umiał słuchać, a jak już coś opowiadał, to tak dokładnie, że poznawało się nawet nastrój towarzyszący omawianym zdarzeniom. Był doskonałym nauczycielem, wychowawcą, gawędziarzem, ale o tym wiedzieli wszyscy, którzy się z nim zetknęli.

Nie wszyscy jednak wiedzą o jego pasji do brydza. Nauczył mnie tej gry i dzięki temu liczne wspólne podróże nigdy się nie dłużyły. Graliśmy u jego rodziców z Alicją, moją przyszłą żoną, i jego tatą. Albo z kolegami w akademiku. Jak nie było czwórki do brydza, to dyskutowaliśmy, snuliśmy plany albo Marek zgadywał, ile liter jest w wyrazach. Potem już nie graliśmy. Gdy przyjeżdżał do mnie, do domu we Władysławowie, było tyle spraw do omówienia. Dyskutowaliśmy aż do zaśnięcia.

Gdy biorę do ręki talię kart, przypominają mi się długie przejazdy pociągami do Sobiboru lub noce w piwnicy bloku w tej leśnej osadzie, albo deszczowe dni w Mostach, czy namiotowe niewygody podczas Akcji Wiśla lub Akcji Bałtyckiej. Teraz karty w ręce przypominają mi Marka i pewnie tak będzie jeszcze długo, dopóki nie przebrzmi pożegnalny klangor żurawi.

Andrzej G. Kruszewicz